

**Zbigniew
Kruszyński**
Ostatni
raport



ZBIGNIEW KRUSZYŃSKI

Ostatni raport

Wydawnictwo Estymator

Warszawa 2020

Copyright © Zbigniew Kruszyński 2009

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020

Okładka: Jerzy Medyński

ISBN: 978-83-957928-8-5

Znowu pada, choć nie zapowiadali. Krople na oknach żłobią drogę w kurzu i ogród już po chwili widać przesłonięty rozchwanym diagramem nie wiadomo czego: zanieczyszczeń powietrza, kwaśnych miejskich deszczów? Skaza w środku szyby rozłupuje gruszę, poroni, nie urodzi, wbrew kształtom owoców. Przed północą wilgoć dostaje się do wnętrza i utrzymuje długo po deszczu, w pokoju od ulicy nigdy nie ustąpi, w czas suchy ani mroźny, ani w największy upał. Na stoliku w rogu przechowalnia wilgoci, w stercie raportów spinacze odciskają rdzę na papierze, jeszcze pół wieku, a przerdzewieją do reszty, niczego już nie zepną. Mógłbym oddać raporty do intrologatora, i tak pracuje dla nas, najpierw kopiuje dla nas, potem dla was zszywa. Wolę jednak wolanty, naznaczone rdzą. Mogę zmieniać kolejność, dopinać i odpinać, tworzyć nowe sekwencje i następstwa zdarzeń. Nieraz mijają lata, zanim wydarzenia ustalą swoją brzemiennej kolejność.

Przestało, wyjdę z suką na wieczorny obchód. Przed furką stajemy niezdecydowani, w lewo czy w prawo, na zachód czy na wschód. W lewo, zwęszyła jakiś świeży trop i decyduje za mnie, niech jej dzisiaj będzie. Agrestowa, Czereśniowa. Owocowe ulice, bez ścisłego związku z tym, co rośnie za żywopłotami. Jeśli trzymać się faktów, to agrest jest głównie na Wiśniowej, na którą akurat nie dowieźli wiśni. Jeśli trzymać się faktów, śmieszne wyrażenie, skoro fakty ustalamy później po owocach.

Dziś pusty obchód, wydrążony krąg. Kapie z drzew, a kałuże lepiej omijać, niż przechodzić w bród. Suka — niech raczej pozostanie suką wśród tylu imion, które muszę zdradzić — wyraźnie nie chce zwiększać dawki płynów. W końcu kuca na swoim ulubionym miejscu, pod kasztanem pachnącym amoniakiem. Nikogo nie spotkamy, to więcej niż pewne, spacer po deszczu na bezludnej wyspie. Gdzieś zastukają jeszcze drzwi wejściowe, gdzieś zgaśnie z ociąganiem, z poświatą, telewizor. Ktoś walnie klapą blaszanego pojemnika, wyrzucając śmieci po całym dniu obżarstwa.

Na rogu Orzechowej — obrośniętej bzem — na chwilę stańmy, żeby jeszcze raz podziwiać wieczorną pantomimę pani Ef vel Em. Przez głowę ściąga coś jasnego, górę, top, przykłada ją do twarzy, sprawdza dezodorant. Zapach, brakuje mi zapachu, raporty są bezwonne, może zresztą lepiej, niż gdyby naturalnie przesiąkały potem. Zauważyłem, że wydzieliny strachu pachną inaczej, gorzej, o czym wiedzą psy. Pod jasną górą ma ciemny biustonosz, składa ręce na plecach, przez chwilę bezbronna. Gaśnie światło — zgaszone czyją grzeszną ręką? — i widzę tylko miłosny splot cieni, jeszcze przez chwilę trzymający pion, na jaśniejszym tle kinkietu w wąskim przedpokoju.

Tak, sprawdzałem jej przeszłość i stosunki, liczne. Na chwilę nawet się w nie zaplątałem. Na prawym udzie ma niewielką bliznę, która, twierdzi, że odpowiada precyzyjnie

rozdarcia na dżinsach, przechodziły z koleżanką przez płot — co okalający? — a drut był, jak to drut, kolczasty. Lubi, kiedy pocierać długo i systematycznie miejsce na szyi u nasady włosów. Zerowa informacja, bo kto by nie lubił.

— Chodźmy — pociągnąłem za mocno, aż z wyrzutem szczeknęła. Szybko dokończyliśmy obchód, zerwał się wiatr i z drzew padało bardziej niż przed chwilą z chmury. Za ostatnim zakrętem jak zwykle rozdarł się pies sąsiada, erotoman histeryk, nie rozumiem, dlaczego jeszcze nikt go nie otruł.

— Ma pan dar obserwacji — od tego zdania wszystko się zaczęło.

Mam dar obserwacji, a zatem opiszmy zachód słońca, ze szczegółami. Kiedy chowa się za obłożony karpiówką dach u jezuitów, na iglicy w dawnym kolegium pijarów nie przestaje błyszczeć.

— Ma pan dar obserwacji, niech pan obserwuje — oficer położył paszport, granatową książeczkę, ważną na wszystkie kraje, pieczętka na wyrost, bo nigdzie nie wyjedziesz bez zielonej karty przekroczenia granicy, kawałek kartonu, który oficer nadal trzymał w dłoni i bawił się nim jak asem albo królem. — Nie chcemy wiele — powiedział. Tyle żebym miał otwarte oczy. I tak trudno mi je będzie zamknąć i zasnąć. Wyjazd na Zachód — nie ma co ukrywać — wiąże się z pewnym szokiem wizualnym. Zachwycimy się wszystkim, sklepami, śmieciami. Można wszystkiego dotknąć i wszystko powąchać.

Nasze zdumienie, że w puszkach od piwa mieści się opisane na nich piwo, nie powietrze. Szampony pełne są szamponu, wina wina. Wódka tak samo mocna, a pięć razy droższa. Będziemy roznosić przemycone flaszki i próbować je wcisnąć skąpym restauratorom. W drogerii poddamy się próbkom zapachów, tworząc nowe kombinacje ze słowiańskim potem. Będziemy chodzić głodni i spragnieni. Rozpuszczać zupy w proszku w zimnej wodzie z kranu, bo wrzątek trzeba mieć gdzie zagotować. Do subwencionowanej paryskiej bagietki przegryzać jęlczejącą już krakowską, przysmak, który zasłużył na lepsze traktowanie.

Dostaniemy paszporty, z zielonym kartonem — oficer rzucił go w końcu na biurko. — My? — zdziwiłem się i zerknąłem w bok. Tak, czy zamierzam się wyrzec towarzyski? Nie zamierzałem. Dostaniemy też przydział dewiz, sto trzydzieści dolarów — zobaczymy, na ile starcza, co oznacza rynek i obłądny, niczym nie skrzepowany wyścig cen. Nietrudno jest produkować w potępieńczym tempie, a potem sprzedawać z nienależnym zyskiem. W ciągu kilkunastu godzin za średnią krajową. O ile trudniej jest zachować umiar, kształtować asortyment, planować apetyt.